

książka do plecaka



Jasiek Mela  
poleca

Karol May

**Old Surehand  
tom 2**

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

KAROL MAY

# Old Surehand

Tom 2

*ISBN: 978-83-7623-959-0*

Wydawnictwo Zielona Sowa  
Kraków

Tytuł oryginału  
*Old Surehand*

Redaktor serii  
Iwona Misiak

Korekta  
Katarzyna Kierejsza

Projekt graficzny okładki  
Edyta Stajniak

Układ typograficzny  
Piotr Hrehorowicz

Skład i łamanie  
Inter Line s.c.

© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., 2009

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
30-404 Kraków, ul Cegielniana 4A  
tel./fax (012) 266-62-94  
tel. (012) 266-62-92  
www.zielonasowa.pl  
wydawnictwo@zielonasowa.pl

Biali są często gorsi od czerwonoskórych – były agent handlowy, znużony opowiadaniem, oparł się o poręcz krzesła. – Jeśli słuchaliście uważnie, panowie, to musicie przyznać, że podstępne plany czarnobrodego i jego ludzi oraz napad na pociąg udaremnilo tylko dzięki bystrości i męstwu Winnetou. Jest to mąż, z którym mało kto z Indian czy białych może się równać, a jeśli kiedyś zginie, to imię jego na pewno przetrwa w pamięci naszych synów, wnuków i prawnuków.

– *Well*, macie słuszość, sir! – wtrącił jakiś jegomość, siedzący przy jednym z bocznych stołów. – Znałem Apaczów jeszcze w tym czasie, kiedy Winnetou był małym chłopcem. Pielęgowali oni od dawna cnoty, które w całej pełni objawiły się u Winnetou.

– Czy znacie jego szczep, sir?

– Znam Meskalerów bardzo dobrze. Nie miałem też nigdy ani pośród czerwonych, ani pośród białych tak wiernego i oddanego przyjaciela, jakim był Inczu-czuna, ojciec Winnetou. Tego wspańskiego Indianina zamordowali biali, a razem z nim Nszo-czi, jego córkę, a siostrę Winnetou, najpiękniejszą, najlepszą i najczystsza dziewczynę Apaczów!

– Czy byliście westmanem?

– Właściwie nie. Przebywałem długo na Zachodzie w celach naukowych, choć nie uważam się za wielkiego uczonego. Jestem etnologiem\*. Szczególnie interesowałem się rasą czerwoną, dlatego większą część roku spędzałem na wędrowkach od jednego szczepu do drugiego. Poznałem Indian i nauczyłem się ich cenić. Oni mnie także znali i poważali, bo wiedzieli, że przybywam do

---

\* Etnolog – człowiek zajmujący się zawodowo badaniem różnych kultur w celach naukowych.

nich jako przyjaciel. Stałem się ich nauczycielem i doradcą, a oni w zamian uczyli mnie, jak się używa broni, poluje, no i jak walczy, chociaż byłem człowiekiem ceniącym nade wszystko pokój. Musiałem polować, aby się wyżywić, a czasem byłem zmuszony bronić się przed nieprzyjacielem. Nigdy jednak moim wrogiem nie był czerwonoskóry. Twierdzenie wasze, że biali są często gorsi od Indian, uważam więc za słuszne. Mógłbym na to przytoczyć niejedną przekonującą dowód.

– Uczyńcie to, sir!

– Prosimy! – Do chóru głosów dołączyła się gospodyni, która przyniosła właśnie kilka pełnych szklanek. – Nigdy jeszcze nie było u mnie tak spokojnie i cicho jak dziś. Ja też chętnie posłucham waszej historii.

– *Well!* – zgodził się etnolog. – Jeśli sprawa to wszystkim przyjemność... Postaram się opowiadać tak samo barwnie jak tamci panowie.

Polowałem z kilkoma ludźmi z Kolorado w pobliżu Spanish Peaks i przez Willow Springs przybyłem nad Nescuntunga Creek. Na prawym brzegu tego potoku miałem się spotkać z Willem Saltersem, z którym przed paroma miesiącami polowałem na bobry w Nebrasce; przy rozstaniu tutaj wyznaczaliśmy sobie spotkanie. Chcieliśmy przejechać przez terytorium indiańskie aż do jego południowo-wschodniej granicy, a potem udać się prosto na zachód, na Llano Estacado, aby poznać tę osławioną pustynię.

Do tej podróży konieczny był dobry koń, a tymczasem mój okulał. Musiałem pozwolić mu wypocząć, dopóki jego noga nie wydobreje. Mój mustang kuśtykał powoli przez prerię, a ja rozglądałem się za oznakami, które by świadczyły o bliskości rzeki. Na północy ciągnęła się ciemna linia, w której domyśliłem się skupisk drzew i zarośli. Zwróciłem się zatem w tym kierunku, przypuszczając, że gdzie jest więcej roślinności, tam musi być i woda.

I miałem słuszność. Ciemną linię tworzyła gęstwina meskitu i dzikich czereśni, rosnąca po obu stronach niezbyt szerokiego potoku. Jechałem z wolna wzdłuż brzegu, szukając z uwagą jakiegoś znaku od Saltersa, który mógł przybyć tu przede mną.

Wkrótce zauważyłem w płytkiej wodzie leżące tuż obok siebie dwa wielkie kamienie; pomiędzy nimi tkwił dość duży konar

wciśnięty w ten sposób, że mała gałąź, znajdująca się na jego końcu, wskazywała w dół rzeki.

Był to umówiony znak. W niewielkich odstępach znalazłem jeszcze cztery takie same. Dowodziły one, że Salters był tutaj i pojechał z biegiem rzeki. Listki na gałązkach już zwiędły, tropu nie mogłem rozpoznać, Salters musiał więc przejeżdżać tędy poprzedniego dnia lub wcześniej.

Po jakimś czasie potok skręcił na północ, zataczając łuk. W tym miejscu gałąź wetknięta w piasek nadbrzeżny wskazywała kierunek w głąb prerii. Salters nie pojechał więc dalej brzegiem, lecz po cięciu łuku, jaki tworzyła tu rzeka. Ja uczyniłem, oczywiście, to samo.

Wtem zauważyłem przed sobą niezbyt wysokie, samotne wzgórze, pocięte rozpadlinami. Dojechałem tam w pół godziny. Szczyt był łysy, a podnóże porośnięte z rzadka krzakami. Zdziwiłem się, gdy objechawszy je, ujrzałem na wschodniej stronie kilka grup starych jaworów.

Ziemia była tu rozkopana na znacznej przestrzeni. Jamy o głębokości kilku metrów, wybrane motyką i łopatą, wyzierały z jednostajnej powierzchni gruntu. Pojechałem dalej, lecz zatrzymałem się niebawem, zauważywszy na trawie ślady stóp. Zsiadłem z konia, by zbadać je dokładniej. Przekonałem się, że zostawiły je nogi kobiece albo chłopięce, obute w mokasyny bez napiętków. Właściwie powinienem się udać za tymi śladami. Ponieważ jednak prowadziły na północ, a moja droga wiodła na wschód, i ponieważ chciałem jak najszybciej spotkać się z Saltersem, dosiadłem konia i pojechałem dalej.

Kiedy dostałem się znowu nad rzekę, zobaczyłem tuż nad jej brzegiem pole obsadzone tytoniem i kukurydzą. Po drugiej stronie wznosił się niewielki dom, otoczony solidnym, lecz bardzo zniszczonym parkanem.

A zatem farma nad Nescuntunga Creek! Kto by się tego spodziewał?! Za parkanem stary, grubokościsty koń tarł głową o pusty żłób, a opodal młody chłopiec zajęty był naprawianiem uszkodzonego płotu. Zdawało się, że przeraził go mój widok.

– Dzień dobry! – pozdrowiłem go. – Czy mogę się dowiedzieć, jak się nazywa właściciel tego domu?

Odgarnął ręką gęste, jasne włosy, popatrzył na mnie badawczo niebieskimi oczyma i odparł:

- Nazywa się Rollins, sir.

- Czy jesteś jego synem?

Powiedziałem do niego „ty”, ponieważ nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat, chociaż był rosty i silnie zbudowany.

- Jestem pasierbem gospodarza.

- Czy ojczym w domu?

Zamiast odpowiedzi wskazał na wąskie i niskie drzwi domu, z których wychodził właśnie jakiś mężczyzna. Musiał się nieco pochylić, aby głową nie uderzyć w futrynę. Był bardzo wysoki, chudy, o wąskich piersiach, a skóra na jego twarzy pokryta rzadkim zarostem wyglądała jak wygarbowana. W rękę trzymał starą strzelbę i motykę. Przystąpiwszy z wolna, popatrzył na mnie niechętnie i zapytał ochryplym głosem:

- Czego tu chcecie?

- Chcę was zapytać, Mr Rollins, czy nie było tu człowieka nazwiskiem Salters.

Chłopiec odpowiedział szybko:

- Był tu wczoraj rano, sir. Ten Salters...

Nie zdołał skończyć. Ojczym pchnął go kolbą w bok, aż biedny chłopiec zatoczył się z jękiem na parkan.

- Milcz, gadzino! – huknął stary. – Nie będziemy służyć byle włóczędze! – I zwracając się do mnie, dodał: – Zabierajcie się stąd!

To było zwykłe grubiaństwo. Postanowiłem jednak nie reagować na to. Zsiadłem bez pośpiechu z konia, przywiązałem go do płotu i powiedziałem spokojnie:

- Wierzchowiec mi okulał. Pozwólcie, że zostanę u was, dopóki nie wyzdrowieje.

Cofnął się o krok, zmierzył mnie groźnym spojrzeniem od stóp do głów i wrzasnął:

- Mój dom to nie gospoda. Jak wam wpakuję ładunek śrutu w skórę... – urwał nagle i spojrzął w bok. – Do licha! Znowu ten przekłety czerwonoskóry! Czekaj no, czekaj, zaraz cię stąd wykurzę!

Z pobliskich zarośli wysunął się młody Indianin. Rollins podniósł strzelbę, wymierzył i wypalił. Ale w tej samej chwili podbiłem mu lufę i ładunek poszedł w bok.

- Psie, na mnie się porywasz?! – ryknął.

Odwrócił szybko strzelbę i zamierzył się, by uderzyć mnie kolbą. Ale ja pchnąłem go tak mocno na parkan, że deski zawaliły

się pod nim, a strzelba wypadła z ręki. Pochwyciłem ją, zanim zdążył się podnieść. Wtedy wydobył nóż zza pasa i wykrztusił zdławionym głosem:

– Mnie... na mojej ziemi! Zapłacisz za to życiem!

Szybko zwróciłem ku niemu rewolwer i odrzekłem:

– Schowajcie nóż! Moja kula jest szybsza od jego ostrza!

Zawahał się, lecz opuścił podniesioną rękę.

Wtem usłyszeliśmy tętent. Jakiś jeździec kierował się galopem w naszą stronę.

– Już przy pracy, chłopie? – zawołał do mnie ze śmiechem. – Dobrze robisz! Wal tego draba, bo zasłużył na to. Ale nie strzelaj, bo niewart garści prochu!

Był to Will Salters. Zbliżył się do nas i pozdrowił mnie:

– Witaj, przyjacielu! Ten drań przyjął mnie wczoraj tak samo jak dzisiaj ciebie. Posłał mi kulę, która na szczęście poszła bokiem. Chciałem się tu zatrzymać, ale w tej sytuacji nie mogłem. Powiedziałem tylko jego synowi, że dzisiaj wrócę, aby zobaczyć, czy stary ma lepszy humor.

Zsiadł z konia. W tejże samej chwili Rollins chwycił motykę i wielkimi susami uciekł w las. Spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem – co za szczególnie zachowanie! Najpierw bezwzględność i grubiaństwo, a potem tchórzliwa ucieczka.

Nie zdołaliśmy jeszcze zastanowić się nad tym, kiedy z domu wyszła kobieta. Widziała, jak Rollins zniknął za krzakami, i powiedziała, wzdychając z ulgą:

– Dzięki Bogu! Już myślałam, że dojdzie do rozlewu krwi. On jest pijany. Dopiero co wypił całą flaszkę wódki!

– Jest pani jego żoną? – spytałem.

– Tak, ale nie mam wpływu na jego zachowanie.

– Wierzę. Przypuszczam, że pani mąż jest chory umysłowo.

– Tak jest, niestety. Zdaje mu się, że w pobliżu zakopany jest skarb. Chce go wydobyć w tajemnicy, dlatego nie znosi ludzi wokół swego domu. Ten młody Indianin jest tu od czterech dni. Nie mógł iść dalej, bo zwichnął nogę. Chciał zatrzymać się u nas, ale Rollins go wypędził. Teraz musi, biedak, nocować na dworze.

Wskazała na Indianina, który właśnie nadszedł. Mógł mieć około osiemnastu lat. Odzież jego uszyta była z jeleniej garbowanej

skóry. Frędzli na szwach nie zdobyły włosy ludzkie, co świadczyło, że chłopak nie zabił jeszcze żadnego wroga. Głowa jego była niczym nieokryta, a broń składała się z noża, łuku i kołczanu. Na szyi miał mosiężny łańcuszek, na którym wisiał cybuch, ale bez fajki. Był to znak, że młodzieniec znajdował się w drodze do świętych kamieniołomów, skąd Indianie przynoszą sobie glinę do wyrobu fajek. W takiej podróży każdy jest nietykalny. Najbardziej chciwy krwi przeciwnik musi wtedy zostawić swego wroga w spokoju, a w razie potrzeby nawet go bronić.

Podobały mi się inteligentne rysy twarzy tego młodzieńca. Aksamitne, czarne oczy patrzyły na mnie z wyrazem głębokiej wdzięczności. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

– Ocaliłeś Iszarshiutuhę. Jestem twoim przyjacielem.

Zastanowiło mnie jego imię. Iszarshiutuha w języku Apaczów znaczy Mały Jeleń. Dlatego zapytałem:

– Czy jesteś Apaczem?

– Iszarshiutuha jest synem wielkiego wojownika Meskalerów, najwaleczniejszych wśród czerwonych mężów.

– Meskalerowie są moimi przyjaciółmi, a Inczu-czuna, ich wódz, jest moim bratem.

Wzrok Indianina przesunął się szybko po mojej postaci.

– Inczu-czuna jest najmężniejszym z bohaterów – powiedział z szacunkiem. – Jak on ciebie nazywa?

– Yato-inta.

Młodzieniec cofnął się kilka kroków, spuścił oczy i rzekł:

– Synowie Apaczów znają ciebie dobrze. Ja nie jestem jeszcze wojownikiem, dlatego nie wolno mi z tobą rozmawiać.

– Wolno ci mówić ze mną – spojrzałem na niego przyjaźnie – bo kiedyś na pewno będziesz słynnym wojownikiem. Wkrótce też przestaniesz nazywać się Iszarshiutuhą, lecz zostaniesz Peh-nulte, Wielkim Jeleniem. Czy noga boli cię jeszcze?

– Tak.

– Wyszedłeś z wigwamu bez konia?

– Wybrałem się po świętą glinę. Idę pieszo.

– Ta ofiara spodoba się Wielkiemu Duchowi. Wejdźmy do domu! – zrobiłem zapraszający gest ręką.

– Wy jesteście wojownikami, a ja jeszcze nie. Pozwólcie, że zostanę z małym bratem! – odparł.

Podszedł do jasnowłosego pasierba Rollinsa i zamienił z nim porozumiewawcze spojrzenie. Zauważywszy to, pomyślałem, że musieli już nieraz ze sobą rozmawiać. Mały Jeleń był tu nie bez powodu. Kryła się w tym jakaś tajemnica. Zapragnąłem ją zbadać, lecz nie pokazałem tego po sobie.

Chłopcy zostali na dworze, a ja wszedłem z Willem Saltersem i z żoną Rollinsa do domu, a raczej do chaty o jednej izbie.

Ubóstwo wyczerało tu z każdego kąta. Nad paleniskiem nie było kotła, a cały zapas żywności stanowiła niewielka kupka kolb kukurydzy, leżąca w kącie. Odzież kobiety składała się z cienkiej perkalikowej spódnicy i kaftanika. Chodziła boso, a zdobiła ją tylko czystość, zadziwiająca przy tym ubóstwie.

Kiedy spojrzałem na posłanie, wymoszczone tylko liśćmi, a potem na bladą wynędzniałą twarz tej biedaczki, mimo woli zapytałem:

– Pewnie jest pani głodna?

Kobieta zarumieniła się po uszy i łzy trysnęły jej z oczu. Kładąc rękę na sercu, rzekła:

– Mój Boże! Nie skarżyłabym się na nic, gdyby tylko Józef mógł być syty! Pole nie przynosi plonów, bo mąż pozwala, żeby zarastało zieleciem, żywimy się tym, co przyniesie polowanie. Ale ostatnio mąż oszalał zupełnie na punkcie tego skarbu i coraz rzadziej bierze strzelbę do ręki.

Wybiegłem z chaty. W jukach miałem zapas mięsa. Will Salters ofiarował kobiecie swoje wiktuały.

– Panowie! – rozplakała się. – Żeby to Rollins był tak dobry jak wy!

– Nie chciałem pani urazić – zauważył Salters – ale zdaje mi się, że spotkałem już kiedyś pani męża, i to w niezbyt zaszczytnych dla niego okolicznościach. Jest bardzo podobny do człowieka, którego znałem pod imieniem indiańskim. Nie wiem, co ono znaczy. Brzmiało, jeśli się nie mylę, Indano albo Indanszo.

– Inta-nczo! – odezwał się ktoś od drzwi.

Stał tam młody Indianin. Nie słyszał naszej rozmowy prócz ostatnich słów i oczy zamigotały mu dziwnym blaskiem. Kiedy wzrok mój spoczął na nim badawczo, odwrócił się i zniknął.

– To imię wzięte z języka Apaczów – powiedziałem. – Znaczy tyle, co „Złe Oko”.

– Złe Oko? – spytała kobieta. – Mąż często powtarza te słowa, ilekroć mówi przez sen albo siedzi pijany w kącie i sprzecza się z wyimaginowanymi postaciami. Czasem nie ma go przez cały tydzień. Potem przynosi z fortu Dodge wódkę, chociaż nie wiem, czym za nią płaci. Pije i pije, dopóki zmysłów nie straci, a mówi o krwi, mordach, złocie, nuggetcie i skarbach, które tutaj mają być zakopane. Boimy się wtedy wchodzić do izby, żeby nas nie pozabijał.

– Jak mogła pani odważyć się przyjechać z takim człowiekiem w te strony?

– Z nim? Z nim nigdy bym tu nie przyszła. Przyjechałam do Ameryki z moim pierwszym mężem i jego bratem. Kupiliśmy kawał ziemi, ale agent nas oszukał. Dokument kupna był sfalszowany i kiedy przybyliśmy na Zachód, okazało się, że zakupioną przez nas ziemię uprawia od dawna ktoś inny. Nie pozostało więc nic innego, jak żyć z polowania. Mój mąż chciał się udać do Kalifornii. Usłyszeliśmy, że znaleziono tam złoto. Dotarliśmy aż tutaj, ale dalej już nie mogłam iść. Zachorowałam z wyczerpania. Obozowaliśmy zwykle pod gołym niebem; na szczęście znaleźliśmy po pewnym czasie ten opuszczony domek. Do kogo należał, nie wiemy. Radziliśmy sobie jako tako, ale myśl o Kalifornii nie dawała mężowi spokoju. Zgodziłam się wreszcie, żeby poszedł do tego kraju złota i spróbował szczęścia. Ze mną miał pozostać szwagier. Niestety, mąż już więcej nie wrócił. W pół roku po jego odejściu urodził się Józef; nigdy nie widział ojca. Gdy syn miał trzy lata, szwagier wyszedł pewnego dnia na polowanie. Kiedy przez kilka dni nie wracał, zaczęłam go szukać. Znalazłam... Leżał martwy nad brzegiem rzeki. Miał przestrzeloną głowę. Pewnie go zamordował jakiś Indianin.

– Czy był oskalpowany?

– Nie.

– W takim razie mordercą był biały. Ale jak zdołała pani przeżyć z dzieckiem?

– Żywiliśmy się kukurydzą, którą uprawiałam na kawałku gruntu obok domu. Czasem udało mi się coś upolować. Później przybył w te strony Rollins. Chciał tylko zapolować i pójść dalej, został jednak na dłuższy czas, a potem na zawsze. Początkowo byłam zadowolona, bo bez niego umarłabym z głodu razem

z dzieckiem. Potrzebowałam opiekuna, a dziecko ojca. Ale kiedyś przyśnił mu się skarb, rzekomo tutaj zakopany. Ten sen powtarzał się tak często, że Rollins nie tylko uwierzył w istnienie skarbu, lecz popadł po prostu w obłąd na tym tle. Nocami śni o złocie, a za dnia go szuka.

– Zapewne tam, pod górą, gdzie stoją stare jawory?

– Tak. Nie wolno mi tam chodzić ani mojemu synowi.

W tej chwili do izby wszedł Józef, prosząc, byśmy wyszli i przypatrzyli się niebu.

Na dworze Mały Jeleń obserwował niewielką chmurkę wiszącą prostopadle nad naszymi głowami. Poza tym niebo było zupełnie czyste. Indianin uważał tę chmurkę za bardzo zły znak. Will Salters wzruszył ramionami.

– Ten dymek z cygara miałby być niebezpieczny? Indianin zwrócił ku niemu głowę i powiedział tylko jedno słowo:

– *Ilczy*.

– Co to znaczy? – zapytał mnie Will.

– Wichur, burza!

– Głupstwo! Wichura zrywa się wtedy, gdy całe niebo zasłoni się chmurami, a w tej ciemnej oponie utworzy się okrągła, jasna dziura. Tu jest odwrotnie. Z wyjątkiem tej chmurki niebo jest całkiem czyste.

– *Keeikhena ilczy* – powtórzył z uporem Indianin.

Teraz zwróciłem baczniejszą uwagę na jego słowa. Znaczą one: „głodny wiatr”. Apacze określają tak rodzaj trąby powietrznej.

Dlaczego chłopak powziął takie przypuszczenie? Nie widziałem nic podejrzanego w tym obłoczku, zdawałem sobie jednak sprawę, że dzieci natury mają niezawodny instynkt w rozpoznawaniu zjawisk przyrody.

– Nonsens! – zlekceważył całą sprawę Salters. – Wejdźmy do chaty, bo wydaje mi się, że zaczynasz się niepokoić.

Odszedł, a ja skorzystałem ze sposobności, by porozmawiać z Małym Jeleniem.

– Która noga boli mego przyjaciela? – zapytałem.

– Lewa – odparł.

– A dlaczego mój brat utykał na prawą, wychodząc z zarośli? Uśmiechnął się zakłopotany, lecz odpowiedział swobodnie:

– Mój waleczny brat się pomylił.

– Mam bystre oko. Czemu Mały Jeleń utyka tylko wtedy, kiedy ktoś na niego patrzy, a chodzi dobrze, kiedy jest sam?

Spojrzał na mnie badawczo, ale milczał. Wobec tego mówiłem dalej:

– Czytam dobrze z tropu i nie zwiedzie mnie ani źdźbło trawy, ani ziarnko piasku. Mały Jeleń schodził dziś rano z góry i nie utykał. Widziałem jego ślady.

Chłopak opuścił wzrok.

– Czemu Mały Jeleń opowiada, że idzie na własnych nogach po świętą glinę? – spytałem. – Przyjechał tu konno ze swojego wigwamu.

– Uff! – zawołał zdziwiony. – Skąd wiesz o tym?

– Moim nauczycielem był wielki wódz Meskalerów. Czy sądzisz, że przyniosę mu wstyd i pozwolę się podejść młodemu Apaczowi, któremu nie wolno jeszcze nosić strzelby ognistej? Twój koń jest dereszem\*.

– Uff, uff! – zawołał z najwyższym zdumieniem. – Rzeczywiście, mam konia i jest to deresz...

– Powinieneś od razu się przyznać! Powiem ci jeszcze, że dziś rano przeciwczyłeś całą indiańską szkołę jazdy. Jechałeś cwałem, wisząc jedną nogą na siodle, ręką trzymając się końskiej szyi i przyciskając ciało do jego boku. Tak robi wojownik w walce, aby się uchronić przed strzałami nieprzyjaciela, a w czasie pokoju wtedy, kiedy ćwiczy dla wprawy. Tylko podczas takiej jazdy włosie z końskiej grzywy może się zaczepić o rękojęść i pochwę noża; a taki włos może mieć tylko deresz.

Indianin sięgnął do pasa, za którym tkwił w pochwie nóż. Wisiało na nim kilka końskich włosów. Dostrzegłem, mimo ciemnego zabarwienia jego twarzy, że chłopak poczerwieniał.

– Oko Małego Jelenia jest bystre – mówiłem dalej – ale nie ma on dość wprawy, aby zważać na drobiazgi, od których często zależy życie. Mój młody brat przybył tu nie bez powodu. Czy pragnie zemsty na właścicielu tego domu?

– Złożyłem przysięgę, że będę milczał – odpowiedział – ale mój biały brat jest przyjacielem najślawniejszego z Apaczów

---

\* Dersz – koń, u którego wśród włosów karych, gniadych, kasztanowatych lub innych występują włosy białe.

Inczu-czunny, pokażę mu więc coś, tylko proszę, by oddał mi to dziś wieczorem. Mogę o tym mówić, bo godzina moja już nadeszła.

Odchylił koszulę na piersiach i wyciągnął skórę, złożoną we czworo jak koperta. Wręczył mi ją i odszedł na pole kukurydzy, gdzie stał Józef. Widziałem, że wziął go za rękę i pociągnął za sobą.

Rozłożyłem garbowaną skórę jelenia, a w niej znalazłem drugi kawałek skóry z cielecia bizona, oskrobanej z sierści, wyprawionej za pomocą wapna i wygładzonej na pergamin. Zobaczyłem na niej szereg figur, nakreślonych czerwoną farbą. Miałem w rękę dokument indiański, niezwykle rzadkość.

Pospieszyłem do chaty, aby ten skarb pokazać Willowi Salterowi. Will potrząsnął głową na widok pisma i rzekł zdziwiony:

– I to można odczytać? Cóż za okropne figury! W tej ciemnej chałupie z dwoma lufcikami zamiast okien nie można ich nawet rozpoznać!

Wyszliśmy przed dom, a kobieta rozpałała tymczasem na kuchni niewielki ogień, aby upiec kilka kawałków mięsa, które dostała od nas.

Na dworze utkwilem natychmiast oczy w indiańskim piśmie, ale Will Salters popatrzył w niebo.

– Hm! Szczególna chmura! – mruknął. – Nie widziałem nigdy podobnej. Cóż ty na to?

Obłok zmienił całkiem swój wygląd. Przedtem sinoszary, zrobił się teraz jasnoczerwony i przezroczysty. Zdawało się, że wychodzą z niego miliony matowozłotych nitek pajęczych i rozsnuwają się po całym widnokręgu. Nitki te były zupełnie nieruchome, jakby naprężone.

– Ja także nie widziałem nic podobnego. Wygląda to rzeczywiście niepokojąco. Apacz mówił o trąbie powietrznej. To byłoby fatalne.

– Niech będzie, co chce. – Salters machnął ręką. – Myślę, że łatwiej zorientujesz się w tym piśmie indiańskim aniżeli w nitkach snujących się po niebie.

– Hm! Zobaczymy! – rozprostowałem skórę. – Namalowane jest tu słońce z promieniami idącymi w górę, a więc wschodzące. Dalej stoją czterej jeźdźcy w kapeluszach. Prawdopodobnie są to biali. Pierwszy z nich ma u siodła coś jakby worki. Za nimi jadą dwaj Indianie, chyba wodzowie, bo mają pióra na głowie.